Nr. 15. i 16. Lwów, sierpień 1918. Rok XLI.



okładka inseratowa.

Kalendarzyk łowiecki na wrzesień:

We wrześniu wolno polować na jelenie, rogacze, przepiórki i dzikie gołębie, dropie, ptactwo wodne i błotne, na kuropatwy i bażanty. Nie wolno sprzedawać żadnej innej zwierzyny.

Redakcja i Administracja „ŁOWCA“ znajduje się przy ulicy Cichej nr. 1., I. p.
Godziny urzędowe dla stron od 9—1. W niedzielę i święta biuro zamknięte.

Wszelkie wpłaty należy uskuteczniać w tem biurze za jego odpowiedniem pokwitowaniem, względnie za przekazem pieniężnym lub czekiem, zachowując recepis jako dowód zapłaty. Tam również należy przesyłać wszelkie korespondencje przeznaczone dla Redakcji i Administracji „Łowca“. Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Nr. 15. i 16. Lwów, sierpień 1918. Rok XLI.



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 5 koron.

Wkładka roczna członka 20 koron

ŁOWIEC

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

SEWERYN KROGULSKI.

Szkic dziejów łowiectwa w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Pilawin.

Zamysły twórcy Pilawina sięgały o wiele dalej: graniczyły z rodzajem tych, które wyprzedzają daną epokę i z tego powodu wymagają albo niezłomnej wiary w siebie samego, albo też płyną z ciekawości przekonania się, jak wygląda rzeczywistość, choćby zadowolenie tej ciekawości miało być niezmiernie kosztowne i ujemne.

Pragnął mianowicie Józef hr. Potocki aklimatyzowane w parku gatunki rozpowszechnić w całym kraju, udomowić je w najdosłowniejszym znaczeniu tego określenia, a więc wypełnić nimi cały Pilawin aż po brzegi, a potem znieść ogrodzenie i puścić zwierzynę wszelką na wolność — w okoliczne knieje.

Pomijając niezwyczajną bezinteresowność, uwidoczniającą się w podobnem założeniu dzieła, — za-

stanowić się warto, jakieby stąd wynikły konsekwencje? Sądząc rzeczy po „ludzku“, przyczem „ludzkość“ ograniczyć trzeba do koliska, zakreślonego takim promieniem, po jakich rozpierzchłaby się swobodą obdarzona zwierzyna, — wolno być pesymistą... Wszak poziom poczucia odpowiedzialności naszego ludu jest, niestety, zbyt nizki. Poszanowanie cudzej własności, uważa się powszechnie za cenny przymiot i to nieczęsty, — nigdy zaś za obowiązek. Kultura jednostek, nawet takich, które swojem stanowiskiem naukowem i społecznem nie dopuszczają powątpiewań, bywa również dość problematyczna. Oparcie się pokusie, zdolność zaparcia się i wyrzeczenia — wymagają albo bardzo głębokiego podłoża etyczno-intelektualnego, albo też przetresowania całym sprzętem administracyjno-policyjnym, zastępującym niekiedy z powodzeniem jego brak. Co do pierwszego — wiemy, jak na ogół stoją sprawy, co do drugiego — nie grzeszył on nigdy pod rządami Rosji dokładnością.

Względy te niewątpliwie brał w rachunek właściciel Pilawina, jeżeli zaś nie cofnął się pomimo tego przed rozwijaniem swego planu, — to może liczył na ową dziwną dobrotliwość, z jaką obchodzi się czasami los z wielkiemi dziełami. Może ocalałaby jakaś część zwierzyny — w rewirach światlejszych jednostek, które zachęcone przykładem, stanęłyby do ofiarnej i wytężonej pracy; może udałoby się zyskać dostateczne poparcie władz i ochronę — od biedy wystarczającą?

Naturalnie, nie można było przewidzieć rozpasania się furji wojennej, która znęca się nad ludzkością od lat czterech, obiecując sobie jeszcze długotrwałe uciechy, — szczególnie na wschodzie!... i nie można było przypuścić, że taka np. Białowieża olśni oczy i serca tylko miljonami „Festmetrów“ materjału na pudełka do cygar, a żubry — zapełnią swem mięsem chwilowe niedostatki w żołnierskich kotłach.

Przyzwyczajano nas powszechnie do uważania niektórych zabytków przyrody za nietykalne świętości, za pomniki, jakie stawia swej duszy i swemu gienjuszowi ludność cała. Wojna odarła świat z tych naiwnych złudzeń, — i niewątpliwie byłaby także w rozumowanie twórcy Pilawina wprowadziła szereg przekonywujących poprawek. Ale rzeczy te leżały poza granicą ludzkich obliczeń, przytem nęci bezwiednie próba odtworzenia w wyobraźni wyników aklimatyzacji zwierzyny egzotycznej w Pilawinie, — idealnie udatnych.

Jakby wyglądał wtedy Wołyń i knieja tamtejsza, do jakiego stopnia zmieniłoby się łowiectwo nasze wogóle, gdyby łoś i żubr, maral i wapiti przestały być wspomnieniem minionych czasów lub okazem zamorskim?

Można zapatrywać się bardzo rozmaicie na łowiectwo i myśliwstwo, można im oddać duszę i zmysły lub zwalczać je zawzięcie, albo zależnie od kąta widzenia obrać jedną z licznych dróg pośrednich pomiędzy temi ostatecznościami. Wielbiciel kultu św. Huberta podnosi z drżeniem serca i rozkosznem uczuciem upojenia pierwszą na wiosnę słonkę, ubitą na ciągu, zniewieściały i zamiłowany w wystawnem ubra-

Jak trubadur.

(Ciąg dalszy).

Na pamięć przychodziły mi zasłyszane opowiadania i głuszce, które widziałem na obrazach lub wypchane. Takiego dojrzę chyba nawet pociemku, dodawałem sobie otuchy, spodziewając się zobaczyć ptaka wielkości indyka. Zresztą usłyszę go i wysłucham po głosie. Sądząc po wielkości ptaka, usłyszę jego głos na wiorstę chyba całą. Jeżeli mały cietrzew tokuje tak głośno, to cóż dopiero trzy, cztery razy większy głuszec. Las się zatrzęsie, kiedy się odezwie. Liczyłem wreszcie na leśnika, o którego wysokich zaletach i doświadczeniu słyszałem tyle i który, wnosząc z zachowania, wiedział najwidoczniej co robi, dokąd mnie prowadzi.

Szliśmy śpiesznie, śmiało i bez zbytniej ostrożności. Chwilami trudno mi było podążyć i, gubiąc się w ciemności, coraz traciłem go z oczu. Z wysokopiennego, ciemnego lasu wyszliśmy na jasną równinę, porośniętą z rzadka karłami sosen, na której wśród wrzosowisk brnąć trzeba było miejscami przez smugi wody.

Teraz osacznik szedł wolniej, ostrożniej, odzywał się szeptem tylko, coraz podnosząc rękę, zatrzymywał się i, nastawiając ucha, słuchał co powie mu las. Ale las milczał i na pytanie starego leśnika nie odpowiadał jeszcze. Idziemy, chwila postoju, nasłuchujemy i — wciąż ta sama głucha cisza; las spał.

Noc była jeszcze, ale w powietrzu, po barwie nieba i po gwiazdach czuć było, że świt tuż, że ranek już niedaleko. Między wierzchołami sosen, wysoko, igrać poczynał nad lasem wietrzyk poranny; nizko nad ziemią, przeświecając przez gęstwę, miesiąc zachodził. W puszczy przeciągle, donośnie nawoływały żórawie, a wraz cicho, nieśmiało, jak gdyby zapytując czy już pora, zakwilił na drzewie mały jakiś ptaszek. Poza tem cisza w lesie była głęboka, zupełna, aż dzwoniło w uszach.

Na nerwach, jak na strunach, grał najlżejszy, każdy szelest, najcichszy szmer: spadający liść, tarcie igieł poruszanych wiatrem. Niebo stawało się coraz bledszem, gwiazdy gasły, a głuszec milczał; nie słychać było nic. Wstrzymując oddech i nasłuchując, staliśmy tak kwadrans, pół godziny może — nic; las

niu elegant, obcy wszelkim wzruszeniom myśliwskim, przyodziewa się z rozkoszą w futro sobole, lub gładzi z lubością skórkę niebieskiego lisa — niedostępną dlań z powodu ceny fantastycznie wysokiej — a zwyczajny śmiertelnik z doby dzisiejszej, staczający homeryczne walki o chleb codzienny, — myśli z mimowolnym żalem o owych miljonach kilogramów znakomitego mięsa z bawołów, — wystrzelanych tak stosunkowo niedawno na prerjach Ameryki.

W tych trzech, lub przynajmniej dwóch refleksjach — mieści się godna uwagi odpowiedź na pytanie czem jest łowiectwo! Wyobraźmy sobie, że dziś mięso jelenie lub żubrze i skóry z tych zwierząt mogłyby być tak pospolite i łatwe do otrzymania, – jak ongiś, gdy na nie nikt nie zwracał uwagi, że futra, dostępne jedynie ludziom zamożnym, byłyby tanim przyodziewkiem czasu zimy, że filc i wyroby z niego opierałyby się na surowcu, dostarczanym masowo z naszych kniej i pól. Wyobraźmy sobie dalej, że praca Danaid, podjęta przez Józefa hr. Potockiego, natrafiłaby na ogólne zrozumienie i poparcie społeczeństwa, władz i wszystkich innych twórczych czynników — a wówczas całe zagadnienie łowiectwa przedstawiłoby się najbardziej uprzedzonym umysłom w znacznie korzystniejszym, niż dotąd, świetle.

Naturalnie — przypuszczenie powyższe wymaga warunków idealnych — które wszakże nie ziszczają się nigdy, co tkwi w samem już pojęciu ideału. Można jednak uznać, że myśl hr. Potockiego, uwieńczona bodaj częściowem powodzeniem, podniosłaby znacznie wartość łowiectwa jako takiego, a zwolennikom tego szlachetnego sportu dostarczyłaby wzruszeń wprost nieprzeczuwanych.

Ich przedsmaku zaznali nietylko ci stosunkowo nieliczni myśliwi, którzy korzystając z zaproszenia lub upoważnienia właściciela zwiedzili Pilawin z aparatem fotograficznym, lub laską spacerową, ale i jeszcze mniej liczni wybrańcy losu, którzy w nim polowali.

Znacznie bowiem wcześniej, niż możnaby przypuszczać, wystąpiła w Pilawinie potrzeba odstrzału niektórych egzemplarzy zwierzyny, — jakby na potwierdzenie tylekroć głoszonej a spornej zasady, że z chwilą, w której człowiek opanuje atrybuty przyrody, musi też wprowadzić i jej prawo najostatniejsze — odstrzał. O ile bowiem w rewirach wolnych ubytek zwierzyny nadmiernie rozmnożonej, następuje skutkiem emigracji, śmierci naturalnej, aktu przemocy silniejszego nad słabszym itp., o tyle w mniej lub więcej zamkniętych — wszystkie te funkcje objąć musi człowiek.

W Pilawinie okazała się potrzeba odstrzału o tyle prędzej, że niektóre okazy zwierzyny objawiały niezwyczajną dzikość, uzasadnioną wywodem właściciela Pilawina, streszczonym w poprzednim „Szkicu". Z takich to powodów miał być odstrzelonym jeden byk łoś.

I oto w uroczysku pilawińskiem rozledz się miały pierwsze strzały sztućcowe! Szczęśliwym wybrańcem był Paweł ks. Sapieha — który w tych słowach zdaje sprawę ze swoich łowów i wrażeń:

„Czem jest Pilawin, wszyscy myśliwi, leśnicy

---

milczał, jak zaklęty. Leśnik odwrócił się, popatrzył w stronę, od której wschodzić miało słońce, i szepnął:

— Bileje, wraz dień.

Już poczynałem wątpić, już przestawałem wierzyć, kiedy z ciemnej, tajemniczej przestrzeni, z głębi kniei, dziwny, nieoczekiwany, ledwie uchwytny dla ucha, doleciał głos, jak klaskanie kastanietu, jak stłumiony, daleki klekot bociana. Głos ten odezwał się raz, drugi i ucichł; milczenie zaległo głębsze jeszcze. Klaskanie powtórzyło się jeszcze i jeszcze raz — i znowu była cisza.

Leśnik skulił się, przyczaił, spojrzał na mnie i, ręką nakazując milczenie, szepnął:

— Poje.

Pomimo ciemności widziałem, jak błyszczą mu oczy. Więc to był głuszec! Dziś ze wstydem wyznać muszę — doznałem rozczarowania. To był głos głuszca, to ciche, głuche klekotanie — głos głuszca! To miała być ta sławna pieśń, o której nasłuchałem się tyle. Inaczej, ach, jak inaczej przedstawiałem ją sobie! O ileż dźwięczniejszą, donioślejszą! Wrażenie miałem, że spotyka mnie zawód. Osacznik nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, podał się naprzód i dał mi znak, że idziemy. Kiedy skończyło się klaskanie, rzucił się, zrobił dwa duże kroki i stanął. Znów głos — pauza, podczas której nie słychać nic, znów dwa kroki i stajemy, jak wryci.

Rozumiałem, że naśladować mam ślepo ruchy i zachowanie się osacznika, choć nie pojmowałem, dlaczego idziemy, kiedy głuszec milczy i posłyszeć może, a stajemy i zachowujemy się ostrożnie wtedy właśnie, kiedy dochodzi nas jego głos. Rozumiałem także, że nie czas na wyjaśnienia i pytania, a każdy niebaczny ruch, każdy hałas lub nieostrożność zgubić może całą sprawę. Szedłem więc za leśnikiem, jak cień, nieledwie stopy stawiając w jego ślady. Kiedy rzucał się naprzód, biegłem i ja, kiedy przystawał, zatrzymywałem się jak umiałem najciszej i, oddech hamując w piersiach, czekałem co dalej. Biegnąc, nie stawialiśmy więcej niż dwa lub trzy kroki. Stąpając, Harasym nie zachowywał żadnej ostrożności; pod nogami trzaskały łamane gałęzi suszu, po cholewach biły krzewy podszycia i pluskała woda w ługach, przez które wypadało przechodzić. Szliśmy więc dość hałaśliwie, prosto na głos. Zato, kiedy wypadło zatrzymać się, staliśmy cicho, jak pnie. Harasym aż głowę tulił w ramiona. W lesie zalegała wtedy zupełna, głęboka cisza, w której słychać było nasz rzeżący, śpieszny oddech i dalekie jeszcze

lubownicy łownej zwierzyny w Polsce, wiedzą, więc objaśnienia zbyteczne.

„Przypadłszy na miejsce dostajemy herbaty i jedziemy „linijką" bardzo sprytnej konstrukcji, autorstwa samego cara Aleksandra III., do lasu.

„Kilkaset kroków od domu, wśród gąszczyku, spostrzegamy łeb leżącej klempy. Dalej przejeżdżamy obok porykującego jeszcze jelenia 14-ka, perskiego, który nam niemal drogę zastępuje. Pers ten, suknią, rogami, całą budową, wreszcie rykiem, zupełnie nasze karpackie przypomina jelenie.

„Bierzemy dwa mioty — straż leśna służy za nagonkę. Mioty się nie udają, bo łosie flanką, mimo straszaków, wychodzą. Dla mnie sam fakt slyszenia z jednej strony, gdzieś hen daleko grających rogów myśliwskich — z drugiej, ryku jelenia, owego Persa, jest już czemś tak dziwnem a uroczem zarazem, że emocja bardzo poważna wkrada mi się w duszę.

„Emocja rośnie, gdy wśród miotu 2-go, sąsiad mój, a raczej sąsiadka, hr. E. R., znakomita i zapalona myśliwa, która z nami przybyła dzielić myśliwskie gody, ruchem ręki mnie woła. Pędzę ku niej, domyślając się czegoś niezwykłego. Istotnie, o 25 kroków od linji stoi stado żubrów, pięć sztuk, a z niemi wdowa po niedawno przez żubra ubitym bizonie amerykańskim. Kolosy te, po namyśle, przewalają się z szalonym łoskotem przez linję.

„Przekonawszy się, że nagonką nie potrafimy w tych ogromnych ostępach wydusić na jedno stanowisko łosi, urywamy około 5-tej polowanie, a jedziemy podjeżdżać po parku.

...„postanowiono upatrzyć byka. I udało się. Zabiłem wspaniałego 16 taka łopatacza, który ważył, niewypatroszony, niecałe 4 cetnary. Ale doprawdy tylko polsko-wołyński pobereżnik potrafi takiej sztuki dokonać. Byka mego „upatrzyli" oni we trzech, w gąszczu takim, że na 30 kroków nic nie było widać. Nie byłaby się ta sztuka powiodła, gdyby byk nie był się silnie „natroszczył" w czasie dopiero co minionego bekowiska. Był sfatygowany, więc zaległszy — leżał, zwłaszcza, że dzień był wprost upalny. Aby byka nie stracić z oczu, czatował jeden z pobereżników opodal w gąszczu przez szereg godzin, w każdym razie od świtu — i czekał".

Oto sam opis polowania, którego urok i niezwykłość można zrozumieć dopiero po uwzględnieniu ram, w jakich ono przebiegło.

Więc żubry i egzotyczne jelenie, ostatnie akordy ich pieśni miłosnej i obrazy — jak w Mickiewiczowskiej „stolicy zwierząt", gdzie każdy gatunek chowa się po parze i gdzie nawet człowiek, wpadłszy tam, przypadkiem, mógłbv niezaczepiony przechadzać się spokojnie:

„Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia
jak na pierwszych rodziców w pierwszym dniu stwo-
[rzenia..."

„Wracając wieczorem ślicznym, tak uroczym parkiem pilawińskim — ciągnie swe opowiadanie ks. Sa-

---

klaskanie głuszca. Nie rozumiałem dlaczego możemy hałasować, kiedy on milczy i posłyszeć może, a zachowujemy się cicho właśnie wtedy, kiedy gra.

Uszliśmy w ten sposób sto kroków, dwieście może. Klektanie słychać było coraz wyraźniej, coraz donośniej. Teraz dopiero zauważyłem, że w chwili, w której zatrzymujemy się, od strony, skąd dolatuje nas głos ptaka, prócz klaskania slychać syczenie jakby, czy tarcie, po którem następuje pauza i znowu klaskanie. W przerwie między okresami klaskania osacznik robi dwa kroki naprzód, potem zatrzymuje się i, nasłuchując, nieruchomo czeka. Chcąc usłyszeć wyraźniej co głos ten oznacza, chwyciłem leśnika za pas od torby i gestem dałem mu znak, że posłuchać chcę, stojąc. Zagrał: naprzód, powoli, staccato kastanietu; stopniowo coraz głośniej, aż w końcu jedno klaśnięcie głośne, donośne, jak odgłos korka wyjmowanego z butelki, i bezpośrednio rulada dźwięków nieoczekiwanych, zdumiewających, nie podobnych do żadnego z odgłosów znanych w przyrodzie. Coś niby syczenie, w którem przeważa litera x

Płynący namiętnie, dygocząco w tym nocnym cichym lesie głos dziwny, zagadkowy.

— Czy to on? — spytałem leśnika wzrokiem.

Skinął mi głową, że tak.

Aha, pojąłem teraz, zrozumiałem: Pieśń głuszca, o ile głos ten pieśnią nazywać można, składa się z dwóch różnych części, z dwóch niejako strof Pierwsza to klaszczące staccato; druga — zapamiętała, sycząca rulada, którą usłyszeć trudniej. Podczas pierwszej, ptak w pełni swych zmysłów strzeże się, czuwa i słyszy, podczas drugiej, uniesiony namiętnością, staje się głuszcem niebacznym na otoczenie, na hałas i na niebezpieczeństwo. Podczas pierwszej strofy płoszy go najlżejszy szmer, podczas drugiej strzelać można choć z armaty — nie słyszy. Podchodzić więc można tylko podczas drugiej części, i zatrzymać się trzeba, nim ptak ją skończy. Nazywa się to podchodzić głuszca „w takt pieśni".

Ruszamy dalej. Teraz, kiedy pojmuję taktykę naszego zachowania się, kiedy wiem, że jeden gest, jeden ruch nieostrożny wystarczy, aby zgubić wszystko, budzić się we mnie poczynaja nerwy i trząść mnie poczyna febra; nie odczuwam już rozczarowania. Wsłuchuję się w pieśni ptaka i, świadom ich znaczenia, obliczam każdy krok, każdy ruch. Posuwamy się, jak dwa cienie, cicho, ostrożnie, od pnia do pnia, od drzewa do drzewa,

pieha — spotykaliśmy co chwila żerującą zwierzynę. Nie zapomnę nigdy uroczej łąki „Romciową" zwanej, na której pasło się kilkanaście łań Wapiti, wśród nich pyszny byk o olbrzymim wieńcu, a nad niemi ostatnie blaski zachodzącego słońca! Cisza, spokój, pogoda".

I nieodmiennym porządkiem przyrody, kojarzącej od wieków życie i śmierć — na Wapiti właśnie miało odbyć się pierwsze, w roku następnym polowanie. Na listę śmierci został wpisany jeden byk, a strzał do niego ofiarował właściel także i tym razem gościowi — śp. Antoniemu hr. Wodzickiemu.

„Gościnność to prawdziwie niewidziana, — wyznaje szczęśliwy myśliwy, — aby po szeregu lat i trudów, kosztów, zabiegów i zawodów nie samemu pierwszą w Pilawinie zabić sztukę, ale rozkosz tę odstąpić gościowi".

Podchód na rykowisko odbywał hr. Wodzicki w towarzystwie gospodarza i łowczego p. Sokalskiego. Po dwugodzinnem „wypracowywaniu" ryczącego, a raczej „gwiżdżącego" wapiti, doszedł go na strzał — i chybiwszy z pierwszej lufy, drugą kulą położył to wspaniałe zwierzę.

Opowiadający mi osobiście o tem polowaniu śp. Sokalski, określił ów chybny strzał, jako wynik nadzwyczajnej emocji, od której dalszego działania niepożądanego ocalił hr. Wodzickiego bardzo zgrabnem odezwaniem się po pierwszem pudle.

„Proszę dobić" — szepnął z naciskiem, poddając tym sposobem, że pierwszy strzał — uznaje jako celny i śmiertelny, a temsamem wracając myśliwemu zaufanie do oka i broni, — mimo, iż doskonale widział pudło. Wytrawny myśliwy daje „strzał z łaski" z całym spokojem i zimną krwią: tak też strzelił hr. Wodzicki, trafiając tym razem istotnie.

Ubity byk był wspaniałym czternastakiem, wagi 326 kg, a jego wieniec ozdobił rezydencję pilawińską. Zdobywca trofeum otrzymał od właściciela odlew poroża w bronzie.

Poprzedzając opis swego polowania kilkoma słowami, malującemi sam Pilawin, trafnie określa hr. Wodzicki jego znaczenie dla świata myśliwskiego:

„...mam uczucie, że czem Mekka dla Muzułmanina, tem powinien być Pilawin dla każdego myśliwego, gdyż niezrównaną jest rozkoszą podziwiać tę odwieczną knieję, te niebotyczne dęby, sosny i jesiony, a wśród nich przesuwające się olbrzymy jelenie wapiti, Dybowskiego, marale, rogacze pygargusy, łosie i wreszcie króla tej puszczy — żubra".

C. d. n.



A głuszec grał – grał zapamiętale, klaskał, syczał; pieśń szła za pieśnią, rulada za ruladą. Cała głębia lasu, cała knieja pełna była głosu, idącego na nas od tajemniczego śpiewaka. Nie zdawałem sobie sprawy, czy to już blizko, czy daleko jeszcze, choć słyszałem wyraźnie każdy ton, każdą nutę, każde syknięcie. W ciemnym, cichym lesie dźwięki te wydawały mi się dziwnie donośne i wyraźne.

Dniało tymczasem coraz więcej, gwiazd było na niebie coraz mniej, z szarej, rannej pomroki wyłaniać się poczynało otoczenie coraz wyraźniej. Skradaliśmy się przez rzadki, wysoki las sosnowy, w którym, rzucone tu i ówdzie, pojedynczo czerniały piramidy świerków. O sześćdziesiąt kroków przed nami otwierała się przestrzeń jaśniejsza, błoto czy polana. Głuszec grać musiał na skraju, bo dalej większych drzew nie było, By nie przechodzić przez miejsca otwarte, na których jasno już było od świtu i od miesiąca, leśnik skręcił i szliśmy dalej zakryci drzewami, nad brzegiem lasu.

Szliśmy teraz wolno, coraz ostrożniej, coraz ciszej, krok jeden ledwie stawiając na raz. Kryliśmy się coraz usilniej za pniami drzew, tuląc się do nich, kiedy wypadło przystanąć. Osacznik, syn puszczy rodzony, był w swym żywiole. W mroku widziałem, jak jego szara postać, majacząca przede mną, garbiła się i kuliła, jak gdyby zapaść chcąc pod ziemię, to znów prostowała się i prężyła, kiedy, jak kot, przerzucał się od drzewa do drzewa. Coś żywiołowego było w jego ruchach, coś z drapieżnego zwierzęcia, skradającego się do zdobyczy. Z początku leśnik otaczał mnie opieką, odwracał się i ręką dawał mi znaki, kiedy czekać i kiedy biedz należy. Po chwili jednak, widocznie uznawszy, ze rzecz pojąłem i zachowuję się dobrze, pozostawił mnie własnym losom i wsłuchiwał się już tylko w pieśni grającego głuszca. Czuć było, że cała istota starego leśnika, cała jego myśl, cała dusza są tam przed nami, gdzieś w ciemnym lesie porwane, skupione w jeden punkt, w jedno miejsce, które odgaduje, które siłą swej wyobraźni widzi może, od którego nieprzepartym prądem idą na nas — namiętność i pożądanie.

C. d. n.



Nieco z balistyki myśliwskiej.

II. (Odnośnie do kuli).

Żołnierz ma swym karabinem sięgnąć wroga jak najdalej, ale, jeśli można, nie zabić go, a tylko unieszkodliwić; myśliwy żąda celności kuli na dy tanse, mierząc dzisiejszą miarą wojskową, najbliższe (najwyżej 300—400 kroków); natomiast pod względem skuteczności — piorun byłby mu najlepszy, tak chciałby — i słusznie, by zwierz rażony przezeń, padał bez życia na miejscu.

Do osiągnięcia tych rozbieżnych celów zaprzęgli obaj jedną siłę żywą energię pocisku i każdy napina ją do maximum dzisiejszej techniki.

Przypatrzmy się, czy równie skutecznie.

Sto lat temu kule karabinów wojskowych prawie nie działały ponad powyższy myśliwski dystans 300—400 kroków; dzisiaj sięgają na tyle tysięcy, wiele dawniej setek kroków.

A pociski myśliwych, czy równe postępy ku naszym celom zrobiły?

Bezwzględnie rzecz biorąc, musimy stanowczo odpowiedzieć — nie; bo zyskaliśmy znacznie więcej na celności strzału, jak na zdolności zabijania na miejscu. Skutkiem tego strzelamy do zwierzyny z większej odległości, ale też stosunkowo więcej postrzałków tracimy.

W czem przyczyna?

Przyczyna leży przedewszystkiem w tem, że nie mając dość na oku wyżej podanej rozbieżności celów, zbyt niewolniczo przyswajamy sobie każdy techniczny postęp wojskowej broni, zamiast zeń adoptować tylko to, co jest postępem także dla naszych celów, wzgl ędnie szukać postępu samodzielnie.

A więc wojskowość zmniejszyła kaliber, aby sięgnąć na kilometry, a powiększyć na setki ilość ładunków przy każdym żołnierzu — my myśliwi, przerzuciliśmy się także, bez względu na jakość zwierzyny, na małe kalibry; wojskowość rozwijając dalej technicznie powyższe balistyczne dążenie, buduje coraz dłuższe i kończaste, jak igły, pociski karabinowe, my też używamy jak najdłuższych pocisków, przechodząc już także do ich formy kończastej!

Czy w tem ślepem naśladownictwie jest jakaś racja z naszego punktu myśliwskiego?

Stanowczo nie.

Dlaczego nie da się nic zarzucić postępowi także i u nas w przejściu do płaszczykowych pocisków?

Bo tu zyskaliśmy na pewności prowadzenia kuli w gwincie lufy, a więc na celności strzału — nadto, przy odpowiednich warunkach, pocisk sam staje się skuteczniejszy, a jeżeli się abstrahuje od większych kosztów, nie straciliśmy nic na tej zamianie.

Natomiast kwestja, czy kula sięga tylko na dwa czy na cztery kilometry nas nie dotyczy, owszem bezpieczniejszą nam kula prędzej opadająca; ilość ładunków nam potrzebna w kieszeni, wynosi parę sztuk, więc wiele ich setek można udźwigać, jest nam także obojętne. Nie jest nam jednak wszystko jedno, czy strzelany zwierz puści farbę tak jak po dawnej, wielkokalibrowej kuli lub dobrym ekspressowym pocisku, lub też gorzej — jak to często ma miejsce przy małych kalibrach.

Im dalszy strzał, tem należy wymagać obfitszej farby, gdyż z inną dokładnością oznacza się stanowisko strzelanej na 80 kroków zwierzyny, a z inną na 250 kroków; tymczasem my małymi kalibrami, a więc właśnie przy gorszych na farbę widokach strzelamy wiele dalej, jak dawniej wielkiemi

Jeżeli co reputację małego kalibru pocisku na grubą zwierzynę, czasem podtrzyma, to skuteczne działanie rozerwanego płaszcza, powodujące dobre krwawienie. Aby ten płaszcz jak najpewniej pękał i działał, musi mieć pocisk jak największą chyżość końcową, nadto musi mieć odpowiednio zaczepliwe, skłonne do deformacji, czoło.

Przy jednakowych chyżościach pociski działają naturalnie tem skuteczniej, im ich kaliber jest większy, gdyż pocisk uderza wtedy większem czołem, większą ekspanzą, a temsamem ma więcej danych skuteczniejszego działania poszarpanego płaszcza.

Reasumując wyżej powiedziane, musimy przyznać, że jako myśliwi, przechodząc do bezdymnego prochu i płaszczykowych pocisków i powiększając stopniowo ich chyżość, szliśmy z postępem myśliwskich wymogów — zaś zmniejszając kaliber — cofaliśmy się niejako.

Tu może ktoś stanąć okoniem i zapytać, jak się w takim razie tłumaczy furorę, którą zrobił 6-cio mm Schönauer?!

Otóż on przyszedł do nas jako symbol wprowadzenia pocisku płaszczowego i magazynówki o najlepszej dotychczas konstrukcji, i reprezentuje ich korzyść wobec broni kulowej dotychczasowej.

Ale nikt nie zaprzeczy, że, biorąc na sumę, sukcesy jego na najgrubszą zwierzynę, utrzyma się zdanie doświadczonego myśliwego na polowaniu:

„Przepadam za Schönauerem, ale wezmę expressa".

Są wyjątki, które mierzą w serce i trafią w serce, tym swą celnością może 6 cio *m/m* Schönauer i na najgrubszą zwierzynę dogadzać.

A więc wielkie kalibry i wielkie chyżości!?

(Rozumie się przy pociskach płaszczykowych).— Czy to jest w praktyce do osiągnięcia?

Tak.

Przyjmuję przy dzisiejszej technice pod grubym kulowym kalibrem 9·5 do 12 *m/m*, a chyżość początkową od 600 *m* w górę. Tutaj zauważam, że płaszcze miękkie (nikiel, a zwłaszcza miedź) działają, otwierając się, przy zresztą równych okolicznościach, dobrze już

od 600 *m* chyżości początkowej, stalowe od 700 *m;* im chyżej tem pewniej.

Znowu zarzut: czy wytrzyma kto szarpnięcie broni takich strzałów? Naturalnie, — a strzelając do zwierza, nawet nie poczuje strzału wogóle, ale — i tu przychodzimy do drugiej po kalibrze potrzebnej zmiany w dzisiejszej ślepo naśladującej wojskowość praktyce myśliwskiej — do obcięcia zbytnich długości pocisku.

Jeżeli sobie uprzytomnimy, że z dobrze zrobionego ładunka lankastrowego Cal. 16 lub 12, normalnie każda okrągła kula, choć spłaszczona na bochenek, przebija grubego odyńca na połeć, a długość tej kuli w stosunku do kalibru wynosi 1 : 1, to przyznamy, że już teoretycznie rzecz biorąc, jeżeli się nie rozchodzi o owe wojskowe kilometry wytrzymałości pędu pocisku — dawanie mu cztero- lub pięciokrotnej długości kalibrowej — jest zbyteczne.

Ponieważ my mamy większe wymogi odległościowe jak nasz poprzednik z okrągłym pociskiem, więc stosunek długości do kalibru płaszczowego pocisku, przyjmuję na 2 do $2^1/_2$, a czynię to na podstawie długoletniej praktyki i obserwacji strzałów na najdalsze myśliwskie dystanse. Przytem zauważam, że w tych granicach, im większy kaliber, tem kula może być krótsza, gdyż ogólna jej masa powiększa się i tak bardzo znacznie wraz z kalibrem.

Jest to okoliczność bardzo ważna; przy racjonalnym doborze broni strzela się grubszym kalibrem na grubszego zwierza; zatem stosuje się cięższą kulę do głębszej, potężniejszej jego masy.

Przez takie skrócenie pocisku, zyskujemy podwójnie w kierunku jego chyżości, a to raz, ponieważ już przy tym samym ładunku prochu uzyskujemy pierwsze bardzo znaczne powiększenie chyżości obciętej kuli, powtóre, ponieważ przy zmniejszeniu wagi obciętego pocisku, umniejszamy o tyle ciśnienie gazów wybuchowych przy strzale, że aby wrócić do tej ilości atmosfer ciśnienia, na które broń była ostrzelana — możemy podnieść odpowiednio, często bardzo znacznie, ilość ładowanego prochu i znowu uzyskać większą chyżość.

Przez ulżenie wagi kuli osiągamy więc za jednym zamachem, ulżenie trącenia broni w strzale i znaczne podniesienie chyżości pocisku, co jest jednoznaczne z podniesieniem jego sprawności deformacyjnej czyli w zabijaniu.

Na zakończenie podnoszę raz jeszcze, że powyższe uwagi opieram na doświadczeniu z bronią kulową, a to w kalibrach 5-cio, 6-cio i 11-stu mm.

Tylko przez zmodernizowanie balistyczne w powyższym kierunku możemy uratować 6-cio mm Shönauer; o innych jego kalibrach nie mówię, gdyż te już w chwili swych urodzin były przez Mausery balistycznie pobite, a utrzymują się tylko dzięki zaletom typu tej broni. *Dr. W. B.*

WŁADYSŁAW KROGULSKI.

Góry uralskie i step kirgizki.

(Z zapisków jeńca.)

Brzegi Urala w jego średnim i dolnym biegu, to step kirgizki. Step bezbrzeżny, który Wielki Ałłach wiernym swym synom darował, aby pełne były ich brzuchy, aby kobyły ich i wielbłądy płodziły im stada, mnogością swoją gwiazdom się równające i aby pełne były ich wory smacznego kumysu.

I przedzierzgnął Ałłach ten step „Ataj Or“ („ojcem Uralem“), iżby gasił pragnienie wiernych i rybą ich słodką karmił.

Dziś, co prawda, najżyźniejszy szmat tego stepu, t. j. prawy, średni bieg Uralu, po długoletnich krwawych walkach zajęli kozacy i przemienili go w spichlerz Rosji, lewy jednak brzeg został w ręku synów Proroka, osiadłych tu Tatarów, niegdyś „Złotej Ordy“, żyjących na prawach kozackich i dzikich synów stepu — Kirgizów, koczujących ze swemi stadami od Aralskiego morza aż po skaliste grzbiety Uralskich gór.

Niestety nie tak słodko żyje się wolnym synom tych stepów. Zdarzy się lato skwarne, to już w końcu maja trawy żółkną, potoki wysychają, ziemia pęka, pożary przeganiają Kirgizów z miejsca na miejsce. A gdy skupią się wielotysięczne stada na stosunkowo małej przestrzeni, zaczyna się brak paszy. Skoro wśród tabunów wybuchnie epidemia, to niszczy je zazwyczaj doszczętnie.

Bywają też zimy tak śnieżne, że bydło nie jest w stanie wygrzebać sobie paszy z pod śniegu, ginie więc śmiercią głodową, bo siana Kirgizi nie robią. Często spotyka się takie cmentarzyska padłych zwierząt, wyschniętych na mumie, niezwykła bowiem suchość powietrza nie dopuszcza rozkładu. Jesienne dopiero deszcze rozmiękczają je na tyle, że czynią z nich pokarm dla wilków, lisów i skrzydlatych drapieżców.

Smutny jakiś bywa ten step latem. Pod bezobłoczną kopułą nieba, żółta bezbrzeżna równina, trzeszcząca mrowiem koników polnych, świerszczy i szarańczy, usiana słupkami susłów, nurkujących śpiesznie, gdy padnie na nich cień nieruchomo rozpostartych skrzydeł birkuta. Dopiero jesienią ożywia się nieco step świeżą zielenią. To czas łowów.

Potem długa sroga zima, zaglądająca podróżnemu widmem śmierci w oczy, czasy bezdroży, wściekłych „buranów“ (śnieżnych zamieci), a zarazem czasy połowu dla rybaka. — A wreszcie wiosna!

Przychodzi prawie niespodziewanie, — jasna, śmiejąca się słońcem, gwarna szumem wezbranych strumieni i krzykiem miljardów ciągnącego ptactwa.

Od tej to pory roku zacznę moje opowiadanie:

jak żyłem i co robiłem, zagnany losem wojny, w tym pożegnanym już — da Bóg nazawsze — przeze mnie kraju.

Widząc, ze żadne wrodzone talenty czy umiejętności w tym dzikim kraju chleba mi nie dadzą — a żyć z czegoś trzeba, wybrałem sobie profesję najbardziej mojej „żyłce" miłą, a więc: myśliwstwo i rybactwo.

Dzięki temu, że przeciętny urzędnik rosyjski ma prócz głowy, nabitej różnymi „zakazami" także i ręce, i, że religia prawosławna, prócz ogólnie w innych chrześcijańskich konfesjach czczonych dziesięciorga Bożych przykazań, zna jeszcze jedenaste — „Nie ziewaj", co się na polskie wykłada „bierz, kiedy dają" — dostałem pozwolenie na posiadanie broni myśliwskiej i wykonywanie prawa polowania.

Pan „prystaw" konkludował słusznie, że jeden „polaczok" ze śrutówką „buntu" jeszcze nie zrobi, — a że Polak do tańca i do polowania zawsze bywa „maładiec" — ergo i na kuchnię prystawa coś kapnie, — więc pozwolił. Strzelbinę miałem „pompówkę" w miarę cnotliwą: choć dymem z kominka nos okopci, ale zwierza położy.

I tak zaczęły się łowy, — a łowy tu zacne. Wiosną step kirgizki przerżnięty „Ojcem" Uralem, tylko się lśni w słońcu od srebrnych wstęg „zalewów" i bezbrzeżnych tafli „limanów". A na nim szum, gwar, plusk, puszystą piersią bystro prótych toni, a nad nim sznury i klucze ciągnącego ptactwa.

Zatrąbi łabędź, gęś zagęga i żałobnym klangorem ozwie się żóraw. Na tle tego akompaniamentu wygrywają dźwięczną melodję bystre skrzydła kaczek i flety kulików, a takt im wybębnia bekas długodzioby i bąki basem powtórują głuchym.

Wieczór, gdy lampa słońca gaśnie, tonąc w fali dalekiej — łódź zwrotna, z jednego pnia topoli drążona, ku wysepce drżącą osiką zarosłej, podpełza, poczem długo błyskają smugi ognika samopału i biały dym, strzępiastą płachtą ściele się nad miedzianem od zorzy, wód zwierciadłem Strącony strzałem z powietrznych szlaków ptak—to ciężko trzepnie o ziemię, to fontannę z rubinów i opali nad wodą wzbije.

I dopiero noc szara spędzi myśliwego, sytego łupu i wrażeń, z jego stanowiska.

Spoczywa strzelba, a poczynają się inne łowy. W głębokiej ciszy nocnej, stuknie niekiedy pływak sieci rybaczej o burt łodzi, lub pluśnie wioslo, niebacznie trącone. Ciche to łowy, kocich ruchów wymagające i silnych ramion — ale bogate w zdobycz.

Dnieje. — Słonka gdzieś niewidzialna chrapie, z niezatopionych wysepek nadbrzeżnego lasu dolatuje bełkotanie cietrzewi, gwar kaczy z wód się podnosi, a rybak sieci swe wytrząsa. Pobłyskują w promieniach jutrzenki złote karpie garbate, srebrzą się sandacze zadzierzyste i płaskie leszcze, — wiją się sumy wąsate, a troskliwa ręka rybaka, pieczołowicie rozwikłuje pajęczynę sieci i coraz to nową zdobycz na dnie łodzi składa. Powrót do domu — to kilkanaście nieraz kilometrów znojnej pracy wiosłami. Następnego wieczora znowu serce rwie się do tego haszysza zapomnienia — do tych przesilnych wzruszeń, jakiemi dobra przyroda koi serce i tęsknotę wygnańca.

Kirgiz i Tatar strzelby nie kocha, ubitego bowiem zwierza strzałem, jeść im Koran zabrania — operują więc przeważnie siecią i samołówkami, a złowione ptactwo dorzynają nożem. Kirgiz nie umie chodzić pieszo, uważa to sobie za ujmę, a wszelkie łowy połączone z zasiadką lub skradaniem się — za czyn niegodny. Jako dzielny jeździec, woli mierzyć się z szybkością, czy sprytem zwierza, w otwartym boju.

To też dopiero jesienią otwiera się pole dla jego „au" (łowów), kiedy na szybkim, jak, wiatr bachmacie, ze smyczą silnych, długowłosych chartów, lub unoszonym „berketem" (sokołem lub orłem), pociągnie w step — by burego wilka poszczuć z komyszy, lub na czujnego dropia uderzyć sokołem.

Szumne i gwarne to łowy, pełne szalonych skoków, dzikich pokrzyków i rycerskiego animuszu.

Ruszamy ławą: na skrzydłach jeźdźcy z chartami na smyczach, reszta uzbrojona w arkany i nahajki. Cicho szłapią boso-kopyte konie po miękkim kobiercu traw, Tatarzy zawodzą tęskne pieśni rodzinne, do wtóru krzykliwego „Kuraju" — t. j. piszczałki, zrobionej z łodygi łopucha. Naraz jakiś piskliwy głos wrzasnął „bure"! (wilk).

Z zarośli dzikich wiśni ruszyła stara wadera i bystro nurknęła w wysokie, suche już burzany.

— Aj — da! Ał — ał! (trzymaj). — huknęło po całej linji.

Z kopyta rusza ława, charty puszczone ze smyczy, koso przecinają pole i zaczyna się piękna zabawa myśliwska, pełna wycia rozochoconych jeźdźców. Jeden z „dżigitlar'ów" (zuchów) dojeżdża odcinającego się pięciu chartom wilka i wali go na odlew, grubym jak polano, nahajem przez latarnię. Wilk słania się... „Ur! Ur! (bij) — ryczy obława. Drugie uderzenie zwala wilka z nóg, następnych kilka, stuknąwszy głucho o jego trójkątny czerep, uśmierca.

Krasna wstęga posoki sączy mu się przez lśniące kłańce zaciśniętej paszczęki. Jeden z jeźdźców poczyna wilka obielać, reszta w siodle, krzyknąwszy Aj — da! rusza cwałem w step szeroki.

Sa plemiona kirgizkie, u których do dziś dnia istnieje sokolnictwo.

Nierzadko obchodzą się na polowaniu Kirgizi zupełnie bez psów i sokołów, a rolę ich spełniają sami jeźdźcy, zbrojni w arkan, nahajkę i kindżał. Arkanem Kirgiz włada mistrzowsko, tak, że niektórzy z nich łapią nim kipiącego zająca, albo we dwójkę — bez pomocy psów — biorą między siebie na arkan, najtęższego wilka i skracając w biegu równomiernie arkany z obu stron, podwieszają go w końcu między

końmi i potężnymi razami nahaja, kładą koniec zbójeckiemu żywotowi starego „bure“ (wilka).

Do jakiej zdumiewającej sprawności w kierowaniu koniem dochodzą ci, od lat chłopięcych do siodła przyrośli, synowie stepu, uwierzy tylko ten, kto ich widział harcujących na dzikich źrebcach podczas wyścigów i rycerskich zapasów, w jesienne święto „ramazanu“, tj. święto jedzenia baranów.

Ktoby pomyślał, że taka „par excellence“ europejska — jak nam się zdaje — gra „Polo“, jest jedną z najstarszych zabaw kirgizkich.

Kirgiz — jak powiedziałem — jest o tyle myśliwym, o ile polowanie połączone jest z użyciem konia. Strzelbę mniej lubi; sidłami zaś i samołówkami innemi, operują chłopaki tylko i to więcej z psoty wiekowi ich właściwej, aniżeli z wrodzonej pasji lub potrzeby. Dzięki temu snać taka mnogość w ich kraju zwierzyny wszelakiej, w stosunku do mało korzystnego terenu sprzyjającego hodowli. Prócz bowiem bardzo wązkiego skrawka liściastego lasu, kępami rozrzuconego po brzegach rzeki Urala, wszędzie step jednostajny, niewielkimi jarami poprzeżynany i jednolite morze traw, jednego prawie gatunku. Z rzadka tylko srebrzą się białe tafle jezior, czasem dość wielkich — często słonych.

W trawach tych i kępach żyją i gnieżdżą się: wilk, lis, tchórz, norka, zając, drop większy (brodacz), drop mniejszy (strepet) i karlik, kuropatwa, przepiórka, pustynnik. Po jeziorach zaś i błotach lęgnie się wszelkie ptactwo, od łabędzia począwszy, a na kuliczku skończywszy. W lasach — cietrzew, kuna i przybysze z pola.

Na ptactwo nikt tu prawie nie poluje, to też takim zaufaniem cieszy się u nich człowiek, na jakieby sobie nasza np. kaczka lub gęś nigdy nie pozwoliła. Podejść tu siedzące na odkrytej wodzie kaczki, nie przedstawia najmniejszej trudności. Po strzale, te co ocalały, pokrążywszy nieco, zapadają znowu spokojnie, przed nabijającym strzelbę myśliwym. Przesadzonemi też wydają się opowiadania myśliwych naszych o trudności polowania na dropia. Tu podjeżdża się tego czujnego ptaka prawie zawsze z pomyślnym skutkiem, a pieszo nie trudniej go upolować, jak u nas np. bociana. Jeżeli wiele dropi i łabędzi, które podchodziłem uszły z życiem, to nie z racji swej przezorności, lecz dzięki mej — zgoła nie Holandowskiej — śrutówce. Nabijając cierpliwie moją „pompówkę“ wzdychałem nieraz do Winchestra, kal. 22. Nie powiem jednak, abym go pożądał gorąco, bo właśnie ta prymitywność mego polowania, miała w sobie ten głęboki urok, który mię tak upajał.

Zdaje mi się, że suchy trzask strzału bezdymnym prochem, nie harmonizowałby z tą pierwotną muzyką stepu, gdzie dźwięki brzmią takie pełne, roztoczyste. Zdaje mi się, że daleki jar nie odpowiedziałby echem na mój zdradziecki wystrzał, i brakłoby mi białego obłoczka dymu, za którym wstyd mój ukryćbym zdołał przed drwiącem okiem słońca.

Trudniejszem nieco jest polowanie, zwłaszcza bez psa, na dropia karlika, którego tu mnogość niezmierna. W stadkach bywa on bardzo lotny, a pojedynczo wycieka zawzięcie, tak, że strzela się w „piechura“, śladem rozchylanych przezeń traw.

Samce stare dosiadują wprawdzie twardziej i trudniej je ruszyć, ale zato strzał pewny, bo ruszone, zlatują ciężko, podobnie do kaczki krzyżówki.

Pozostaje jeszcze kuropatwa i przepiórka, które prócz lisa, tchórza i drapieżników skrzydlatych, innych wrogów, n. p. wnykarzy, nie znają, zawdzięczając to swej maliźnie. Smak ich zaś nie jest przynętą dla krajowców, których pociąga ilość wagowa, a nie jakość, i, którzy każdy rodzaj mięsa jadają wyłącznie gotowany.

Prócz łowów tutaj opisanych, a tchnącym średniowieczem — u nas już zapomnianem — uprawiałem i rybołostwo.

Ural, rzeka niezwykle rybna i przytem w rybę wykwintną. Jest: karp, sandacz, bieługa, jesiotr, sum, miętus i mrowie wszelakiej „białej“ ryby, to też latem wędką a w zimie siecią, obficie czerpałem z tego skarbca, ale, że sposoby połowu tutaj uprawiane nie noszą cechy szlachetnego sportu, więc o nich przemilczę, tem bardziej, że los przeniósł mię później w Uralskie góry, w taki raj dla rybaka i myśliwego, że przy nim zbladły wszystkie moje myśliwsko-rybackie sukcesy, odniesione w kirgizkim stepie. Ich opis będzie treścią dalszego opowiada.

* * *



JAN DROHOJOWSKI.

Wspomnienia z łowów czasu wojny.

(Ciąg dalszy.)

Na Perkozy.

Na Narwi i na jej starych korytach, pomiędzy wsiami Pianki i Parzychy, zauważyłem liczne stado perkozów. Natychmiast z Felim ułożyliśmy plan kampanji, na tę nie bardzo powabną, ale za to mało płochliwą zwierzyną. Pierwsza potyczka odbyła się na rękawie Narwi, gdzie stadko perkozów zajęte było łowieniem ryb. Środkiem rzeki posłaliśmy chłopa na czółnie, sami zaś, kryjąc się za nadbrzeżne krzaki, podchodziliśmy płynące ku nam perkozy. Pierwszą kulę ja posłałem, ale bez skutku — perkoz znurkował i wypłynął koło mego towarzysza, który go na miejscu położył, jeszcze jeden perkoz padł od celnego strzału mego towarzysza, ja też wypuściłem dwie bezskuteczne kule, poczem wróciliśmy do domu, robiąc projekty na dzień następny. Na drugi dzień, otrzymawszy posiłki w osobie naszego naczelnika ks. G., już we trzech wyruszyliśmy nad Narew, z zamiarem stoczenia walnej z perkozami bitwy. Nie daleko chaty gdzie mieszkał nasz przewodnik, stare koryto Narwi tworzyło dosyś obszerne jezioro. Na niem zauważyliśmy dwa stadka nurków. Ja, jako „szef sztabu", ułożyłem plan natarcia: ks. G. z Felim poszli lewym brzegiem jeziora, ja zaś przeprawiłem się na prawy brzeg i, korzystając z wysokiego brzegu, zdołałem się podkraść do nurków na kilkadziesiąt kroków, skąd dałem do nich dwa bezskuteczne strzały. Tymczasem moi towarzysze, ustawiwszy się na wązkim przesmyku, gdzie jezioro znów w wązki rękaw przechodziło, rozpoczęli kanonadę do przelatujących na główne koryto Narwi perkozów; doszedłszy po przeciwnym brzegu na wprost nich dowiedziałem się, że Feli zabił dwa, a ks. G, jednego perkoza. Teraz poszedłem aż do głównego koryta Narwi. Wyszedłszy na poblizki piaszczysty pagórek, zobaczyłem w miejscu, gdzie rękaw zlewał się z głównem korytem, ogromne stado perkozów, około 80 sztuk, dalej błyszczała w słońcu szeroko rozlana Narew. Obszedłem nurki do około i zaszedłszy od Narwi, zbliżyłem się do nich na strzał; główna masa perkozów nie dopuściła mnie blizko, zaczęły się zrywać, trzepiąc zrazu swoim zwyczajem po wodzie skrzydłami, a dopiero przeleciawszy tak kilkadziesiat kroków wzbijając się wyżej. Perkozy leciały wprost na moich towarzyszy, to też wkrótce zagrzmiały stamtąd liczne strzały i grzmiały bez przerwy, bo nurki zrywały się co chwila po kilkanaście i ciągnęły wciąż na stanowiska mych towarzyszy; ja też dałem kilka strzałów, ale znowu bez skutku. Ponieważ już wszystkie nurki uleciały, wróciłem do moich towarzyszy, którzy także byli z pustemi rękami; moc zwierzyny tak ich zdenerwowała, że chybiali jak najęci. Nadmienić też trzeba, że strzał do perkoza w locie jest bardzo trudny, bo perkoz pomimo krótkich skrzydeł ma lot nadzwyczaj bystry, tak, że chcąc go spuścić trzeba dużo przed nim zakładać.

Teraz mieliśmy nurki w ciasnym rękawie Narwi; wysokie brzegi ułatwiały podchodzenie; postanowiliśmy uderzyć z dwóch stron; ja z Felim przeprawiłem się na prawy brzeg rękawa, a ks. G. jechał łódką. Kilkanaście nurków zostało zamkniętych między ks. G. a nami. Feli, bohater dnia, leżał pierwszy, ja za nim o jakie 80 kroków; kilka perkozów spłoszonych przez ks. G., nadleciało na strzał i Feli ślicznym dubletem dwa spuścił na wodę i ja dwukrotnie strzeliłem z mojej wypożyczonej śrutówki, ale znowu bezskutecznie; tymczasem nowa partja perkozów tym razem wodą nadpłynęła. Feli znów jednego położył, ja zaś biegnąc po brzegu, zacząłem huraganowem ogniem ostrzeliwać płynące przedemną dwa perkozy. Nareszcie piątym strzałem jednego zabiłem i tem przełamałem mój dziwny pech do tych ptaków. Wkrótce zabiłem drugiego, a za chwilę jeszcze dwa jednego po drugim, kulami, próbując drylinga ks. G. Zdobycz naszą dnia tego, stanowiło 10 perkozów.

Na tym rękawie Narwi polowaliśmy prawie codziennie i nigdy nie wracaliśmy bez łupu: dzień w dzień 3 do 4 perkozy padało od naszych strzałów. Raz, pamiętam, pojechaliśmy z Felim już późno, gdzieś koło 4 godz. po południu; mżył deszczyk. Feli przeprawił się na prawy brzeg rękawa, ja szedłem po lewym, chłopak nasz jechał środkiem rzeki. Już z pół wiorsty tak przeszliśmy i żadnego perkoza nie było, nagle patrzę, a Feli się zgina i pędem biegnie. Wtej chwili wychodzę i ja na wysoki brzeg i za zakrętem, w miejscu idealnem do stoczenia walnej bitwy, widzę duże stado perkozów; biegnę całą siłą nóg, żeby dobiedz na czas, bo Feli już się zbliżył na wprost nurków a teraz zawzięcie ku nim raczkuje. Wpadam pędem w zagłębienie, jeszcze mam tylko kilkanaście kroków do brzegu, a tu już słyszę dwa strzały; zdążyłem wreszcie i zaraz miałem dwa najbliższe mnie perkozy. Teraz rozpoczynamy straszliwy ogień z czterech luf z obu stron rzeki. Ogłupiałe perkozy wcale nie uciekają, jedne nurkują na miejscu, żeby wynurzyć się o kilkanaście kroków dalej, inne już postrzelone siedzą z rozdziawionemi szeroko dziobami na wodzie, a nasze strzelby zieją bez ustanku ogniem. Po kwadransie zabrakło nam ładunków; rozpoczęło się wyławianie zabitych i, niestety, najczęściej bezcelowy pościg wobec braku ładunków, za postrzałkami; 16 perkozów ozdobiło nasz rozkład, a jeszcze kilka postrzelonych przepadło w nadbrzeżnych krzakach.

C. d. n.

JÓZEF BARTMAŃSKI.

Obrazki myśliwskie z wojny.

(Urywki: Z ciężkich czasów obrazki wesołe, tom I. i z tomu II., niewydanego dotąd, z powodów cenzuralnych.)

—

Z Galicji.

Każdy obszarnik bywa myśliwym, więc i ja nim byłem; zwierzynę nietylko strzelam, ale i strzegę.

Przykro było nad wyraz przez jesień i zimę całą, dzień w dzień przysłuchiwać się strzałom niepowołanych. Łupili sarny przeważnie, bo zając zbyt jest płochliwy, kozioł czy koza — co wlazło pod lufę.

Polowali czynownicy, polowali oficerowi, polowali sałdaci, co było i żyło, kto chciał i nie chciał, a prośby, przedstawienia — na nic.

Niejednokrotnie straż leśna przed krewkim Czerkiesem, lub dzikim Kozakiem umykać musiała, bo kulą w łeb groził.

A chłopi, bezkarności pewni, zakładali sidła w tysiące.

Polował naczelnik powiatu, choć dygnitarz taki na straży prawa raczej stać winien, i sam się swych łowów rezultatem chwalił:

— Wczoraj w lesie waszym ubiłem dwie sarny; patrzcie, jaką mam strzelbę.

— Niczego — powiadam.

— Za pięć rubli kupiłem od „krestijanina".

— Krestijanin ją pewnie we dworze ukradł — dodaję.

* * *

Z końcem kwietnia stoję na polu przy pługach' w głębokiem zwątpieniu, czy wogóle warto w ziemię niewyrobioną, zaperzoną i zachwaszczoną rzucić ziarno.

Do lasu mego, czterej wchodzą z nagonką myśliwi, po chwili strzał pada.

Sarn w tych krzakach niema, jeśli wogóle choć jedna w lesie na pamiątkę została; w kwietniu zające strzelają!

Za dużo wrażeń dla utrapionej duszy myśliwego, niechby djabli tę hołotę wzięli!

Puszczam się w pogoń, dochodzę pierwszego. Był to inżynier z kolei.

— Szanowny panie nadinżynierze! Po pierwsze gubernator polować zakazał (podobno wydał takie rozporządzenie), po drugie las jest mój i polowanie jest moje, po trzecie myśliwy nie strzela zajęcy w kwietniu, bo mogą mieć młode, lub są kotne.

Groch o ścianę!

Ani mruknął, ani się zwrócił, jakby mnie na świecie nie było.

Był może i głuchy i niemy i ślepy.

Podchodzę do drugiego, — praporszczyk.

— Panie poruczniku! Po pierwsze gubernator polować zakazał, po drugie las i polowanie jest moje, po trzecie myśliwy nie strzela zajęcy w kwietniu, bo mogą mieć młode, lub są kotne.

— A któż wam powiada, że strzelam do zajęcy, ja strzelam do celu.

— Tu w gąszczu?! Nie wiem, czy to wygodnie, może pan porucznik byłby łaskaw wyjść z gąszczu na łąkę, są tam pojedyncze drzewa, strzelanie do celu będzie ułatwione.

— Charaszo! — I pod mym nosem spudłował zająca.

Idę do trzeciego, porucznik.

— Panie sztabskapitanie! (każdy awansował). Po pierwsze gubernator... recytuję da capo.

— Ta czto! — burknął

— Proszę, żeby panowie łaskawi byli zaprzestać polowania.

W ciągu dysputy zbliżył się czwarty myśliwy, przepraszam kłusownik, także inżynier kolejowy, rozczochrana murga.

— A wy co tu chcecie?! — huknął jak dzika świnia.

— Chcę, abyś się pan wyniósł do djabła i nie kłusował w mym lesie!

— Co! wy pędzicie russkich ofcerów?! Wy Poliak, ja was nauczę! — I polowali dalej...

* * *

Z Albanji.

Polowałem raz w tym kraju na dziki i sport ten zalecam gorąco amatorom samobójstwa. Własnych ludzi, już dostatecznie utrapionych, nie tylko nie wypadało używać w nagonce, ale niemożliwe to było i z tego powodu, że przejścia i ścieżynki przez zdradliwe bagna znane były tylko dzikom i Albańczykom. Albańczycy szli chętnie, jednak tylko z bronią w ręku i z zastrzeżeniem prawa do ognia huraganowego, a że broni własnej nie mieli, bo ją skonfiskowaliśmy, co w ten sposób pojąć trzeba, iż większość z nich swą broń bezpiecznie pochowała, przeto dostawali na łowy broń naszą.

Gdy dzik wyskoczył we dwa ognie był brany, myśliwi strzelali przeważnie dookoła dzika, trochę w nagonkę — nagonka zaś trochę w dzika, przeważnie w myśliwych i trudno było zdrowo powrócić do domu. Gdy w dodatku pan doktor, w ferworze myśliwskim i w słonki godził pociskami z Mannlichera i świat zasypywał kulami, wołał pułkownik:

— Doktorze, uszanuj oficera sztabowego!

A ja, marny porucznik, nie mając prawa do tak daleko idących względów, gdy doktor chwilowo ogień zastanowił, rzuciłem się do grzebania kawerny.

* * *

Z centralnej Afryki.

W centralnej Afryce, nad Pouga biegiem, lasu miałem kawał. Dzikiego zwierza był tam niegdyś nawał, atoli gdy czarni lata wojowali, nieszczęsnego zwierza całkiem wystrzelali. Została jedna sarna, co prawda na trzech nogach i trzy zające, zato z śrutami po rogach, a na te niedobitki, parol zagiął brzydki, unterkacyk z Buarny, rodu prześwietnego i tłukł się po mych lasach — na buszowanego.

Lecz w Afryce centralnej miałem leśniczego, ten spotkał się z raubschützem rodu książęcego, i jak wypadało, chciał pazury chować i... parlamentować. Jednakże unterkacyk z Buarny książąt rodu, do bardzo pośpiesznego zebrał się pochodu, i gnał—jak opętany antylopy biegiem, w centralnej Afryce nad Pouga brzegiem... Zmykał... wściekle zmykał, może jeszcze zmyka.. z Buarny unterkacyk i blizki kacyka.

A gdym ten obrazek w centralnej Afryce rozgłaszał w klubie, w klubów elicie, uleciał jeden kominem z tej ziemi, drugi w swej własnej ukrył się kieszeni, trzeci w dziurce nosowej sąsiada, natomiast gdzie czwarty... wspomnieć nie wypada, bo rzeczy o blizkim kacyka.. któż rusza, kto tyka!.. w zasadzie normalnej, Afryki centralnej!



TYDZIEŃ POLESKI

przez

A. BARTHELSA.

(Ciąg dalszy.)

Aż tu na biedę moją: *ok, ok, ok**), głuszyce
Mizdrzyć się zaczynają — płoche zalotnice!...
Widać prawdę, rządzącą nawet te zarośle,
Że gdzie djabeł nie zładzi — tam samicę pośle.
Nic nie będzie wyraźnie!.. Wtem łup, łup, głuszysko
Zrywa się, i nad głową moją, ot tak nizko,
Jak kijem dostać, leci.. Ja bac, bac, dwa razy!
Padł z dymem, jak onuca! Boże mój, wyrazy
Wszystkie ludzkie na świecie, poezja, to mało!
Muzyka nie wyrazi — co się ze mną działo,
Kiedym ja tego głuszca, co tam grał na sęku,
Widział tu, u nóg moich, i trzymał już w ręku!
Dwa głuszce! — warto prochu trzy naboje spalić,
Bo jest do czego strzelać i z czem się pochwalić,
Ależ jest co i dźwigać kawałek nie mały:
Jeden z drugim na plecach przynajmniej pud cały.
Rozkosz, rozkosz nadziemska! oh, i na tem basta,
Zdaje się, że mi skrzydeł para z plec wyrasta,
Tak do ogniska śpieszę.. hop! hop! na sąsiada
Wołam, hop! hop!, wracając, Paweł odpowiada
—Masz głuszca?—Mam jednego, a ty?—Dwa Mosanie!
Dalipan, to zbawienie, a nie polowanie,
I prawdę powiedziawszy, ja myślę, że święci
Muszą być choć tam w niebie, myśliwi zawzięci.
Ruszajmy do kurenia — idziem — już dzień biały,
Słońce jeszcze nie zeszło, lecz w ruchu las cały,
Ptactwo na gwałt świegoce, a na samym przedzie,
Drozd pomiędzy wszystkimi najgłośniej rej wiedzie,
Gwiżdże jak opętany, skacząc z drzew na drzewa
I pewnie przekonany, że prześlicznie śpiewa.
Tymczasem słońce wschodzi, i gdy z jednej cienie
Z drugiej strony już światła leją się strumienie,
A słońce tem piękniejsze, że w złota powodzi,
Z ciemnej pręgi tych lasów litewskich wychodzi,
Tak, że człek mimowolnie wyszepcze modlitwę
Do Boga za te lasy i za naszą Litwę,
Oddałby, co najdroższe, Bogu na ofiarę,
A zwłaszcza kiedy niesie, jak ja, głuszców parę!..
Wtem zapiszczał ja ząbek. — A gdyby zawabić!
Mówi Paweł... — Dawaj go... tylko fuzję nabić
Cieńszym śrutem potrzeba... — Siadamy na kłodzie
W gęstym leszczyny krzaku, i po starej modzie
Nuż go drażnić wabikiem..., blizko odpowiada —
Na piechotę się ku nam, jak widać, podkrada —
Patrzym nizko po ziemi, słychać tylko, panie,
Od czasu tak do czasu urwane purchanie
Prrr... i usiadł we wrzosie.. czupurne to licho
Biegnie po kłodach prędko.. my siedzimy cicho..

---

*) Wabienie się głuszycy — po którem głuszce zlatują na ziemię.

Aż oto znów podleciał... i usiadł przed nami...
Paweł stuk! zatrzepotał tylko skrzydełkami,
Przebiegł jeszcze kawałek pod leszczyny krzaczek,
Strzepnął się, i bez ducha został nieboraczek.
Do torby kawalera... i z czterma sztukami
Dążymy do kurenia chwalić się strzałami.

XII.

Aż już siedzą pod brzeziną
Wszyscy przy ognisku,
Jeden z kiepską bardzo miną,
A trzech po myśliwsku,
To jest: gwarno i wesoło
Okopcono, brudno,
A o czem tam radzi koło
I zrozumieć trudno.
Wiele głuszców? — Trzy mosanie
Ignacego, Jana,
I mój miłościwy panie..
A gdzież jest Acana?
Pytam Piotra milczącego,
Został widzę w lesie!
— At! do djabła idź starego
Co wacanu chce się,
Wyprawili gdzieś na błota,
Gdzie wiuny i raki,
I każą, jeśli ochota
Skakać przez mech taki.
Skoczyłem pieśni ze dwieście,
Jak pies się skąpałem,
Głuszec porwał się nareszcie,
A w lot spudłowałem.
Ot i wszystko... za nic w świecie
Nie pójdę już z wami,
Bo wy tylko mnie umiecie
Zbywać konceptami...
— Wstydź się, wstydź się, Piotrze drogi,
Tak o nas źle sądzić,
Człowiek, nie znający drogi,
Musi czasem zbłądzić,
A tyś pierwszy raz tu z nami,
Nie znasz miejscowości,
A i przyznaj, że czasami
Brak ci cierpliwości.
Ja znam mech ten doskonale,
Są miejsca i grzązkie,
Lecz są także niezłe wcale,
Gdzie zarośla wązkie.
Gdybyś skakał wciąż krzakami,
A nie hałem błotem,
I nie zmókłbyś tak z uszami
I nie łajał potem.
Ot tak bracie... dziś dla zgody
Ja cię zaprowadzę
W miejsce, gdzie już niema wody,
I głuszca zasadzę
Wprost dla ciebie, — jutro z rana
Weźmiesz go jak swego,
A tymczasem do Acana!
I dosyć już tego..
Wypił Piotr jeszcze markotny
Kubek cnej staruszki,
I otarłszy łeb wilgotny...
— At w popiele gruszki!..
A ja na to: Nie w popiele,
Lecz w twojej kieszeni,
Już ja, kiedy co wydzielę,
Djabeł nie odmieni,
Jutro wytniesz głuszca raźnie,
Ja ci to powiadam,
A wiesz, że mówię wyraźnie,
Choć nie wiele gadam...
Teraz cicho — a na zgodę
Pocałuj mnie w czoło,
Wylej z mokrych butów wodę
I zanuć wesoło...
Piotr poczciwy widząc jasno,
Że się darmo zgniewał,
— Et! niech was pioruny trzasną!
Zaklął i zaśpiewał:
*„Któż zrówna na świecie
Myśliwskiej swobodzie..."*
A my sobie też w komplecie
Rżniem po starej modzie
Chórem, panie, urządzonym,
Po polsku prawdziwie,
To jest wszyscy unisonem,
A każdy fałszywie...
Aż tu jawi się na stole,
A raczej na wrzosie,
Uczta, co aż w oczy kole, —
Pięć słonek w bigosie.
A dla uniknienia sprzeczek,
(Bo sześć przecie osób)
Dodany nasz jarząbeczek —
Inaczej nie sposób.
Mianowany gospodynią,
Jaś to nam skucharzył,
Jeszcze misę na słoninie
Smarszczów nam nasmarzył.
Poszła więc na te nowiny
Straszna mastykacja,
I przynajmniej dwie godziny
Potem konwersacja
W pytaniach i odpowiedziach
O życiu ochoczem,
O głuszcach i o niedźwiedziach,
I Bóg wie nie o czem.
Potem taki i owaki,
Położył się w cieniu,
A ja sobie, choć zuch taki,
Chrapnąłem w kureniu. (C. d. n.

Korespondencje.

Gródek Jagielloński, 20. lipca 1918.

Powiat gródecki należy bezsprzecznie do najuboższych w zwierzynę we wschodniej połaci kraju. W stronie południowej i zachodniej niema prawie zupełnie lasów, w północnej natomiast ogromne, zwarte, milami ciągnące się kompleksy lasów dobrostańskich, strzeliskich, janowskich, Lelechówki i Wiszenki, nie sprzyjają, z braku zakulturowanych pól, rozmnoży sarn i zajęcy. Natomiast w stronie południowo-wschodniej, gdzie wśród pól i łąk, porozrzucane jak remizy, leżą lasy powitnieńskie, bartatowskie, stawczańskie, gródeckie i kiernickie, od lat kilka panuje dotkliwa plaga i klęska. Jest nią bezpłatne pasienie przez wojskowość tysięcy owiec i setki koni i źrebców. Przez wiosnę, lato, jesień i bezśnieżną część zimy, stada te, pędzone przez żołnierzy uzbrojonych w karabiny, przebiegają łąki i pola, lasy i zręby, bez względu na granice i kultury i niszczą krzewy, drzewka i sadzonki leśne. Lecz nie tylko lasy, łąki i zagajniki cierpią z powodu tej nieracjonalnej i dewastacyjnej gospodarki „na naszem podwórku“, lecz również zwierzyna, płoszona dzwonkami owiec i strzałami żołnierzy — znika z tych stron i nic dziwnego, że ubiegłej jesieni, na polowaniu w lasach bartatowskich dóbr metropolitalnych, widziano i zastrzelono tylko *jednego* zająca.

Że żołnierzy pasący te stada, nie noszą karabinów od parady, lub ochrony owiec przed zwierzętami drapieżnemi — rzecz jasna. Ale, że strzelają z niej do spotkanej zwierzyny, jest faktem przez zaprzysięgłą straż leśną naocznie sprawdzonym, która, bezbronna, niema odwagi wkraczać na miejscu, wobec uzbrojonych pastuchów-żołnierzy.

Dotychczasowe kroki i starania o zmianę tych stosunków, niestety, nie odniosły najmniejszego skutku. Jeżeli jednak słowa te dojdą do wiadomości pp. Namiestnika i Marszałka kraju, którym odbudowa zniszczonej kultury naszej gorąco na sercu leży, to niewątpliwie zechcą wydać energiczne zarządzenia ochronne także i co do do tej części powiatu, a spotkają się z gorącą podzięką pokrzywdzonych.

Dr. Henryk Malsburg.

Kronika.

Myśliwstwo w usługach aprowizacji. Znany pisarz myśliwski i jeden z członków założycieli „Wolnego stowarzyszenia dla ochrony łowiectwa“ Juljusz Diensthuber, oblicza ile zwierzyny dostarczyły „aprowizacji“, rewiry styryjskie.

Z obliczenia tego, przeprowadzonego jedynie w takich wypadkach, w których statystyka była wogóle możliwa, wynika, że od lipca 1914 do końca stycznia 1917 dostarczono bezpłatnie zakładom wojskowym 65.805 kg, a ubogiej ludności 45.544 kg dziczyzny. Myśliwi sami i ich personal zużytkowali 344 842 kg. Sprzedano zakładom. handlarzom i restauracjom 114.570 kg, wojsku 140.470 kg, oraz ludności miejscowej po cenach nizkich (aż do 1 K za 1 kg) 569.215 kg. Do tego należy doliczyć 49.730 zajęcy, 23.330 bażantów i 28.610 kuropatw, wagi, w przybliżeniu 237.250 kg; część z tego, mianowicie 9.200 zajęcy, 2.940 bażantów i 2050 kuropatw, odstąpiono po cenach kosztu, a jeszcze więcej bezpłatnie zakładom wojskowym i armji. Sama więc Styrja dostarczyła 1,516.585 kg mięsa, które, rachowane jak najtaniej, przedstawia wartość 10 miljonów koron!

Sprawy Towarzystwa.

W poczet członków G. T. Ł. wpisali się za sprawą pp. Dzięciołowskiego, Goreckiego, wicepr. Krogulskiego, Dra Midowicza, Mięsowicza. Stanclika i Widta pp.:

Białowąs ks. Antoni, Tuligłowy p. Komarno.
Dankiewicz Leon, Stanisławów.
Dunikowski Bolesław, c. i k. kap.-audytor, Kraków, Pędzichów boczna 2.
Józefczyk Zygmunt, Kraków, Karmelicka 57.
Kopta Jan, Skotniki, p. Kobierzyn.
Korasadowicz Józef, Siedliska-Bogusz, p. Brzostek.
Łuszczyszyn Mikołaj, Kłodno, p. Żółtańce.
Pastuszyński Jan, Lwów, strażnica pożar.
Pawłowski Robert, Rzeszów.
Scott Elgin, Lwów, ul. Dwernickiego 16.
Scott Georg, Lwów, ul. Dwernickiego 16.
Struc Ksawery, Lwów-Zniesienie 33.
Tow. myśl. w Sanoku, w osobach przewodnicz. Stoka Franciszka i sekret. Skoczyńskiego Romana.
Tułecki Józef, Brzostek.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor naczelny i odpowiedzialny Seweryn Krogulski
Odbito w drukarni „POLONIA" we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 16.